

Arminiusz patrzy na Europę

Kwestia, która zdawała się odejść w niepamięć, powraca z wielką siłą. Niemcy – za duże na Europę, za małe na świat – znowu stają się problemem Starego Kontynentu - piszą twórcy Teologii Politycznej we wstępie do najnowszego numeru rocznika pt. „Niech żyją fajne Niemcy!”



Kwestia, która zdawała się odejść w niepamięć, powraca z wielką siłą. Niemcy – za duże na Europę, za małe na świat – znowu stają się problemem Starego Kontynentu

„Quintili Vare, legiones redde!” (Suet., Vita Divi Augusti 23)

Kwestia, która zdawała się odejść w niepamięć, powraca z wielką siłą. Niemcy – za duże na Europę, za małe na świat – znowu stają się problemem Starego Kontynentu

Kryzys gospodarczy, problemy euro, kryzys instytucji europejskich, sprawy zagraniczne, bezpieczeństwo czy energetyka – w każdej z wielkich kwestii dzisiejszej Europy decyzje podjęte w Berlinie mają kluczowe znaczenie dla pozostałych członków Unii. Nikt w Waszyngtonie nie miałby dziś żadnych trudności, by odpowiedzieć na pytanie Henry’ego Kissingera – do kogo ma zadzwonić, kiedy chce rozmawiać z Europą (albo: kogo podsłuchiwać, by ją usłyszeć). W polityce europejskiej wszystkie drogi prowadzą do Berlina. Choć w powiedzeniu, że Unia stała się Świętą Unią Narodu Niemieckiego jest wiele retorycznej przesady, to przecież ten żart jest dobrym opisem fenomenu niemieckiego porwania Europy. Czy to problem? Z pewnością – ponieważ rosnąca koncentracja władzy i siły jest politycznym problemem samym w sobie (i to nawet jeśli nie jest się sąsiadem Niemiec i ma się coś do powiedzenia w sprawach polityki europejskiej). Choć w stosunkach międzynarodowych podmiotowość nie musi być grą o sumie zerowej, to przecież trudno wątpić, że wzrost politycznej potęgi jednej ze stron skutkuje ograniczeniem podmiotowości mniejszych graczy – o średnich i małych nawet nie potrzeby wspominać. Czy nie powinniśmy o tym debatować, szukać nowych rozwiązań, wewnętrznych koalicji, zabezpieczeń, albo choćby próbować wyjaśnić, jakie są obowiązki nowego lidera? Nawet abstrahując od pożałowania godnego stanu polskiej polityki, powiedzieć trzeba, że warunki do postawienia tej kwestii są bardzo niekorzystne. Oficjalny dyskurs korzysta z retoryki partnerstwa nie tylko po to, by nie niepokoić demokratycznych społeczeństw Europy (zwłaszcza byłych liderów jak Francja czy Włochy). Dzieje się tak

również dlatego, że same Niemcy nie są zainteresowane nadmiernym eksponowaniem stanu faktycznego. Po pierwsze – dlatego, że zdolność przedstawiania i realizowania własnego interesu jako wspólnego interesu europejskiego jest niezwykle wygodna (Niemcy nie muszą renacjonalizować dyskursu politycznego, a przeciwników może mieć tylko Europa – nigdy Niemcy!), a po drugie – dlatego, że w warunkach kryzysu mogłoby to oznaczać wzrost niechcianej przez niemieckich wyborców odpowiedzialności za coraz trudniejszą sytuację w Europie. Zainteresowanych udawaniem, że nic się nie zmieniło, jest zbyt wielu i są oni zbyt mocni, by uwierzyć, że rozdźwięk między rzeczywistością a oficjalną diagnozą nie będzie się pogłębiał. Dlatego nowa sztuka długo jeszcze grana będzie w starych dekoracjach (co jest dobrą wiadomością dla brukselskich urzędów), a oficjalni komentatorzy nie przestaną zapewniać, że życie jest spełnionym snem europejskich ojców założycieli, a August – żadnym królem - lecz zwykłym senatorem.

Dysproporcja sił to nie jedyny kłopot. Drugi to towarzyszące im problemy z kręgu historii, pamięci i tożsamości. Europejskim mocarstwem trzymającym w ręku gospodarkę i politykę kontynentu jest wszak kraj odpowiedzialny za największe zbrodnie XX wieku (jeśli nie największe zbrodnie ludzkiej historii w ogóle). Co więcej kuracja, której poddano Niemców po II wojnie światowej, została uznana za zakończoną – zwłaszcza przez chorego, który za niezrozumiałe i skandaliczne uznaje jakiegokolwiek próby symbolicznej choćby kontroli kierunku, w którym rozwija się jego polityka. Trudno uzyskać właściwy obraz sytuacji europejskiej, jeżeli się zapomina, że współczesne Niemcy odmawiają uznania racji oczywistej do niedawna zasady ich *de facto* ograniczonej suwerenności. Tak zwana afera podsłuchowa to doskonały test skuteczności niemieckiej walki o podmiotowość w relacjach z Ameryką. Jeszcze dwadzieścia lat temu pośpiesznie zamieciono by ją pod dywan – nie tylko dlatego, że stanowi ona ostentacyjną

kompromitację niemieckich służb, lecz także dlatego, że nie ma nic miłego w przypominaniu o zasadach bezpieczeństwa stosowanych wobec wspólnoty, której przewidywalność powszechnie uważa się za ograniczoną. Jest rzeczą symptomatyczną, że naturalna do niedawna odpowiedź: „Podśluchujemy was w interesie Europy i świata, bo biorąc pod uwagę waszą historię i obecną potęgę, nikt rozsądny nie może was traktować jak zwykłego kraju” wypchnięta została daleko poza granice politycznej poprawności zarówno w Niemczech, jak i na świecie. To miara wielkich zmian duchowych, które w Republice Federalnej zaszły po zjednoczeniu, ale i wielkich sukcesów niemieckiej polityki (zwłaszcza kulturalnej i historycznej), pozwalającej uwierzyć, że przypominanie dawnych obaw jest równie niegrzeczne, co niemądre.

Powojenne Niemcy przeszły długą drogę. Wydobywanie z nazizmu, realizowane zarówno twardymi środkami politycznymi (denazyfikacja), jak i z wykorzystaniem wielkiego projektu pedagogiki społecznej (praca nad językiem i pamięcią historyczną), z pewnością zostawiło głębokie ślady w niemieckiej tożsamości. Nie wchodząc w gorącą od końca lat siedemdziesiątych XX wieku dyskusję o wadach tego projektu (sławny spór historyków), nie można zaprzeczyć, że Niemcy solidnie odrobiły lekcję demokracji i antyfaszyzmu i że zerwanie z totalitarnymi ideałami III Rzeszy nie jest pozorne. Z drugiej strony – trudno nie zadać sobie pytania, czy ceną za zerwanie ciągłości z państwem Hitlera nie jest również zerwanie poczucia odpowiedzialności za to, co się wydarzyło, i – co za tym idzie – utrata zmysłu krytycznej podejrzliwości wobec pewnych form niemieckiej kultury duchowej i politycznych aspiracji współczesnych Niemiec. Idzie o postawę, którą streszcza anegdota o młodych Niemcach, którzy – podczas międzynarodowych warsztatów dla młodzieży – z wyżyn swojej postnarodowej (jak głęboko wierzą) tożsamości oburzali się na nacjonalistyczny charakter Muzeum Powstania Warszawskiego. (Jeśli

zbrodnie nazizmu to efekt nacjonalistycznej logiki, w której tkwili nie tylko zbrodniarze, lecz także ich ofiary, to czy strażnicy pamięci warszawskiego zrywu nie żyją w epoce mrocznego nacjonalizmu?). Powie ktoś, że to odosobniony przykład. Być może. Niestety zapał, z jakim niemiecka lewica wspiera ideę koniecznej zmiany polskiej zacofanej, narodowo-katolickiej mentalności, nie nastraja zbyt optymistycznie. Niemieccy antyfaszyści, którzy głupkowskim kolegom z nowej lewicy przywożą pałki i kastety do bicia Polaków obchodzących Święto Niepodległości, to doskonała figura groźnego absurdu, do którego prowadzić może uwiąd poczucia odpowiedzialności za niemieckie zbrodnie połączony z silnym imperatywem kulturowej misji. Niemcy karcący Polaków za nacjonalizm! Gdyby nie było to straszne – mogłoby być nawet śmieszne.

Problemy Niemiec z Europą nie zaczęły się ani dzisiaj, ani w XX wieku. Wzajemne napięcia i podejrzliwość mają bardzo długą, jeszcze starożytną historię. Bitwa w Lesie Teutoburskim (9 rok po Chrystusie), w której germańskie plemiona pod dowództwem wodza Cherusków – Arminiusza – w pył rozbiły trzy legiony Warusa, stanowią doskonały symboliczny początek trudnych relacji między Germanami a Rzymem, osobliwego *Hass und Liebe* i dziwnego oscylowania między statusem odległego satelity a aspiracją do tworzenia ścisłego centrum Europy. Arminiusz, którego sukces w dużym stopniu przesądził o utrzymaniu granicy na linii Renu (Germania nigdy potem nie została już prowincją Imperium), jeszcze jako zakładnik uzyskał obywatelstwo rzymskie, został przyjęty do klasy ekwitów i jako oficer wojsk pomocniczych walczył z barbarzyńcami w Panonii. Ta dziwna historia germańskiego zmagania się z rzymską formą staje się pewną niemiecką, historyczną specjalnością, którą rzutuje na rolę i miejsce Niemiec w Europie. W nowych odsłonach historii Arminiusza kontynuować będą i Karol Wielki, i Otton III, i Fryderyk Barbarossa, nie inaczej rzecz ma się z

reformacją i Marcinem Lutrem. Niemiecki stosunek do Napoleona, kluczowy dla zrozumienia fenomenu niemieckiego nacjonalizmu w XIX wieku, także będzie się kształtować w cieniu drzew Lasu Teutoburskiego. Dlatego rzeczą dużej wagi wydaje się dziś powrót do dyskusji o niemieckiej tradycji, która zrodziła nazistowskie demony. To jednak wymagałoby odwagi, by przestać opowiadać sobie wyłącznie politycznie poprawne bajki na ten temat.

Żadnego kraju niemieckie bestialstwo nie dotknęło tak strasznie jak Polski. Kiedy Niemcy dokonują dziś ogromnej pracy przy budowie nowej wizji polityki historycznej, my mamy obowiązek czynnie w niej uczestniczyć. Wiele spraw budzi ogromne wątpliwości – ich symbolem może być próba oczyszczenia pamięci zwolenników Wiecznych Niemiec, na czele z rodziną Stauffenbergów. Pomysł, by entuzjaści niemieckiej dominacji nad Wschodem stawali się patronami nowoczesnych Niemiec, jest czymś niemożliwym do przyjęcia. Polityczna gra historycznymi symbolami nie jest niewinną zabawą, skoro – jak dobrze wiadomo – symbole mają konsekwencje (nie mniejsze wcale od idei). Zgoda na pewną postać polityki historycznej szybko może się okazać bardzo kłopotliwa. Dlatego dyskusja jest potrzebna. Fakt, że dziś w Europie jesteśmy jednym z krajów o najwyższym poziomie sympatii wobec Niemiec, świadczyć może o tym, że w takiej dyskusji potrafilibyśmy zachować niezbędny dystans. Fakt, że żyje ciągle w Polsce pokolenie, które budzi się w nocy z krzykiem, ponieważ doświadczyło niemieckiego bestialstwa, sprawia, że takiej dyskusji nie grozi akademicka jałowość.

Dariusz Karłowicz

Tekst stanowi wstęp do numeru Teologii Politycznej nr 7, pt. „Niech żyją fajne Niemcy!”.